

Pamiętnik Wiktorii Sadowskiej z/d Szofer:
„Dzieje mojej rodziny” cz. II

Od Redakcji

Archiwa rodzinne, archiwa społeczne, kolekcje prywatne w zasobie Archiwum Państwowego w Szczecinie

Długa jest tradycja gromadzenia, przechowywania i zabezpieczania rodzinnych, spuścizn i kolekcji prywatnych w archiwach państwowych. Materiały te pozostają przedmiotem zainteresowania archiwów państwowych, bowiem doskonale uzupełniają wiedzę zawartą w dokumentacji urzędowej. Archiwa rodzinne są ponadto częścią polskiego dziedzictwa narodowego. W oparciu o zgromadzone w nich dokumenty, listy, pamiętniki, fotografie można odtworzyć historię pokoleń rodziny, oraz wydatnie wzbogacić bazę źródłową do dziejów państwa i narodu. W każdym domu znajdują się rzeczy po rodzicach czy dziadkach, które uważamy za zwykłe, powszednie, a trzeba przecież dostrzec ich wyjątkowość. Na ich podstawie można np. odtworzyć losy repatriantów przybywających po drugiej wojnie światowej na Pomorze Zachodnie i do Szczecina. Cenne są zarówno dokumenty i pamiątki sprzed wielu dziesięcioleci, jak i te nam współczesne, których przemijania nie dostrzegamy na co dzień, a które z każdą chwilą nabierają nowego, symbolicznego znaczenia. Może to dotyczyć materiałów dokumentujących rodzinne rocznice, czy związanych z przełomowymi wydarzeniami w życiu. W ostatnim czasie Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych zainicjowała projekt „Archiwa Rodzinne Niepodległej”, którego celem jest podniesienie świadomości na temat roli i znaczenia osób, rodzin i społeczności lokalnych w odzyskaniu przez Polskę niepodległości, jak też konieczności ochrony pamiątek i dokumentowania historii rodzinnej i lokalnej, oraz pozyskanie do państwowego zasobu archiwalnego unikalnych archiwaliów, które zostaną zabezpieczone i udostępnione w formie on-line.

Prezentowane poniżej fragmenty pamiętnika Wiktorii Sadowskiej z/d Szofer, zatytułowane „Dzieje mojej rodziny” cz. II, które trafiły do zasobu Archiwum Państwowego w Szczecinie jako dar Zdzisława Sadowskiego, (jak i inne materiały tej rodziny), wpisują się w ów projekt, będąc świadectwem swego czasu. Pamiętnik, który oddajemy do rąk czytelników jest oryginalną wersją tekstu, bez poprawek redaktorskich. Opuszczone fragmenty tekstu zaznaczono nawiasem kwadratowym.

Zamiast wstępu

Pierwsza część Pamiętnika Wiktorii Sadowskiej z d. Szofer została wydana przez Nowotomyskie Towarzystwo Kulturalne w nr 3 (43) „Przeglądu Nowotomyskiego”, gdyż dotyczyło życia na tym terenie. W słowie redakcyjnym napisano m.in.: „Prezentujemy przesłany nam przez Zdzisława Sadowskiego ze Szczecina pamiętnik matki Wiktorii Sadowskiej z d. Szofer, która opisała w nim dzieje swojej rodziny, związanej ze wsią Róża koło Nowego Tomyśla. Zamieszczony poniżej fragment pamiętnika zawiera opis życia wiejskiego od 1880 r. aż do roku 1946, tj. ślubu Wiktorii z Tadeuszem Sadowskim i jej wyjazdu ze wsi” i dalej „Wiktoria Sadowska (1919–2003), była nietuzinkową wiejską dziewczyną, inteligentną społeczniką, członkinią Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej i przewodniczącą miejscowej organizacji włościanek, która po kursach w Poznaniu, organizowała życie kulturalne swojej i przyległej wsi”.

Ponieważ jeszcze za życia mamy, obiecałem doprowadzić do wydania jej pamiętnika, próbowałem wydać II część pamiętnika mamy, dotyczącą krótkiego pobytu w Katowicach i już na stałe w Szczecinie (po repatriacji) w Szczecińskim Towarzystwie Kultury (którego byłem kiedyś członkiem i laureatem kilkunastu nagród w konkursie: „Dzieje szczecińskich rodzin”), ale oni wydają tylko „poważne” dzieła członków zarządu STK.

Szkoda że mama zakończyła swój pamiętnik na 1957 r. bo miałem utrudnione spisanie Kroniki rodziny Sadowskich. We wstępie do pamiętnika, mama Wiktoria spisała swoich przodków od 1820 r. ja dopisałem jeszcze jedno pokolenie. W sierpniu 2017 r. dokumenty do 1999 r. część zdjęć po rodzicach i rodowody (Sadowskich od 1757 r., Kostków od 1694 r.), wydaną w Nowym Tomyślu I część pamiętnika mamy Wiktorii przekazaaliśmy w ramach akcji: „Archiwum rodzinne” do Archiwum Państwowego w Szczecinie z opcją przekazania pozostałych naszych dokumentów, po naszej śmierci przez syna Andrzeja.

Ps. W późniejszych latach mama Wiktoria, jeszcze wróciła do działalności społecznej, działając w Komitecie blokowym, czy Radzie parafialnej.

Zdzisław Sadowski

Pamiętnik Wiktorii Sadowskiej z/d Szofer: „Dzieje mojej rodziny” cz. II

Po świętach Bożego Narodzenia w 1945 r. wyjechałam do Poznania do rodziny, do krewnych, bo mieli dla mnie dużo do szycia. Nawet wszystkie co chcieli im nie poszyłam, bo już w domu i rodzinnej wiosce Róży, czekali na mnie z szyciem. Do domu wróciłam przed Wielkanocą w 1946 r. Czułam, że w domu przy obrządku nie jestem już potrzebna, ręk do pracy w gospodarstwie było dosyć. Rodzice i młodsze siostry, chcieli bym wreszcie wyszła za mąż, zbliżało mi się 27 lat. Miałam przed wojną narzeczonego, na którego bardzo liczyłam, lecz gdy w czasie wojny Niemcy nas wysiedlili, to po roku rozłąki pocieszył się inną. I teraz miałam różne matrymonialne oferty, lecz nie spieszyło mi się do małżeństwa.



Na chrzcinach Ryszarda, syna kuzyna Stanisława Wawrzyńkiewicza rozmowa zeszła na temat powrotu z Niemiec brata żony Stanisława, Tadeusza.

Mysząc o mnie kuzyn Wawrzyńkiewicz, zapowiedział, że przywiezie do Róży swego szwagra Tadeusza. Kuzyn dotrzymał słowa i wkrótce poznałem niepełna 37-letniego kawalera Tadeusza Sadowskiego. Na trzecim spotkaniu, Tadeusz oświadczył mi się. Postanowiłam wyjść za mąż za Tadeusza, brata żony mojego kuzyna z Poznania. Mój przyszły małżonek pochodził spod Gniezna. Na kilka lat przed wojną jego najstar-



szy brat Walenty odbywał służbę wojskową w Katowicach i po jej ukończeniu tam pozostał, pracował i ożenił się. Później sprowadził do Katowic swą siostrę Marię, szwagra Antoniego i dwóch braci Stanisława i Tadeusza. Walenty już przed wojną wybudował sobie piętrowy domek w Katowicach – Ochojcu i mieszkał tam z żoną i synem. Na pięterku miał lokatorów. Tadeusz po powrocie z Niemiec, gdzie przebywał jako jeńiec wojenny a później pracownik przymusowy u niemieckich bauerów, zamieszkał dalej w Katowicach u brata Stanisława. Mówił, że ten pokój, który zajmuje ma osobne wejście ze schodów i że możemy go zajmować dopóki nie znajdziemy innego mieszkania. Miałam jechać do Katowic poznać miasto i zobaczyć jak mieszka.



Lecz cóż za dużo już było wydatków na ślub i wesele. Ślub cywilny zawarliśmy 7 października w Nowym Tomyślu, a ślub kościelny 8 października 1946 r w Wytomyślu. Wesele było duże, rodzice mówili, że to pierwsze wesele wyprawiane córce, bo siostra Maria brała ślub w czasie wojny na wysiedleniu i był skromny jak na ten czas, w gronie najbliższej rodziny. Do kościoła jechaliśmy powozami konnymi.

Na dwa tygodnie przed ślubem przyjechali do mnie z dużej wsi Kuszlina, chcieli bym objęła kierownictwo powstającego tam przedszkola, mieszkanie byłoby zapewnione. Po ślubie przedstawiłam mężowi tą propozycję, lecz on nie chciał mieszkać na wsi, ciągnęło go do miasta, do Katowic. Musiałam się więc pożegnać z rodzinną wsią Różą, z siostrami i rodziną, i pojechać w nieznane, nie wiedząc co tam zastanę i jak zostanie przyjęta przez rodzinę męża. W trzy dni po ślubie wyjechalśmy do Katowic. Katowic nie znałam, lecz od razu nie spodobało mi się to miasto. Dworzec wtenczas stary, obskurny, miasto ciemne, zadymione. Zaprowadził mnie mój małżonek, do tego przez niego zajmowanego poko-

ju, raczej pokoiku, który miał nam służyć jako jadalnia sypialnia, kuchnia i łazienka. Byłam rozczarowana. Wieczorem zaprowadził mnie do swojej siostry i szwagra, był tam też jego najstarszy brat Walenty. Siostra Maria ze szwagrem Antonim nie byli na naszym ślubie, bo siostra chorowała na ostre zapalenie stawów i nie mogła chodzić. Również brat Walenty z żoną też nie był, bo wtenczas chorował. Przyszedł też brat Stanisław, u którego mieliśmy mieszkać. Zapoznanie to było dla mnie nieco przykre, bo oni myśleli że przywiozłam tysiące posagu, za które kupimy gdzieś jaki pokój i się wyprowadzimy. Żona Stanisława miała wkrótce urodzić drugie dziecko i było im w niedużym pokoju i kuchni też ciasno. Jedynym wesołym momentem rodzinnego spotkania, było jak bracia męża wspomnieli jak Tadeusz wrócił po wojnie do Polski, do Katowic w rok po zakończeniu wojny w maju 1946 r., i zatrzymał się u brata Stanisława. Przywiózł trzy ciężkie kuфry, piec żelazny i rower. Zleciała się cała rodzina z Katowic, myśląc że przywiózł skarby a przynajmniej jakieś pożyteczne rzeczy jak np. srebrne marki. Jakie było rozczarowanie rodziny gdy zobaczyli, że ojciec przywiózł w kuфrach stare narzędzia, siekiery, koce i płaszcze, bo powiedziano mu że w Polsce niczego nie ma. Zamieszkaliśmy na ul. Brzozowej w dzielnicy willowej. Willa ta po jakimś przedwojennym przemysłowcu była dwupiętrowa.



Parter i pierwsze piętro miały po dużym holu, trzech dużych pokojach, kuchni, łazienki, spiżarki. A góra gdzie Stanisław mieszkał, to była taka jakby nadbudówka, miała tylko dwa pokoiki, łazienkę i kuchnię. Parter zajmowała rodzina z Katowic a pierwsze piętro zajmował pewien inżynier z Warszawy, z żoną i trzema siostrami. I zaczęło się szukanie mieszkania. Lecz dostanie gdzieś mieszkania było tylko marzeniem. Katowice były strasznie przełudnione, a nowe domy dopiero zaczęli budować. Tym

Parter i pierwsze piętro miały po dużym holu, trzech dużych pokojach, kuchni, łazienki, spiżarki. A góra gdzie Stanisław mieszkał, to była taka jakby nadbudówka, miała tylko dwa pokoiki, łazienkę i kuchnię. Parter zajmowała rodzina z Katowic a pierwsze piętro zajmował pewien inżynier z Warszawy, z żoną i trzema siostrami. I zaczęło się szukanie mieszkania. Lecz dostanie gdzieś mieszkania było tylko marzeniem. Katowice były strasznie przełudnione, a nowe domy dopiero zaczęli budować. Tym

k którzy starali się o mieszkanie, kazali jechać na ziemie odzyskane. Lecz mój małżonek taką możliwość wykluczał. Brat męża Walenty przyjałby nas na piętro swojego domu, lecz miał tam już lokatorów, których nie wolno mu było wyeksmitować?

Z początkiem grudnia Trudka, żona Stanisława urodziła drugą córkę Joannę, pierwsza Irena miała już trzy lata. Do czasu urodzin chodziliśmy do nich do łazienki i po wodę, teraz było małe dziecko i nie można było przeszkadzać. W piwnicy obok pralni była ubikacja, więc tam chodziliśmy i stamtąd braliśmy wodę.

Moja siostra Maria w Róży, również w grudniu urodziła drugą córkę Dorotę. Tak nadeszły święta Bożego Narodzenia. Wigilię spędziliśmy u siostry męża Maryni z całą jej rodziną. W drugie święto byliśmy w Ochojcu u Walka. I tak szły dni za dniami, szukaliśmy jakiegoś pokoju, lecz na próżno. Wynikały z tego powodu kłótnie między mężem i Stanisławem. Czułam się jak intruz, który wkroczył w tą rodzinę, zabierając im ten pokój. Często chodziłam do siostry męża, którzy mieszkali blisko, na drugiej ulicy. Ona biedna schorowana przez reumatyzm, ona mnie rozumiała. Wyjeżdżając z domu zabrałam maszynę do szycia i mając wolne chwile, szyłam. Małżonek pracował teraz w magazynie tekstylnym, przynosił resztówki materiału, z których szyłam męskie czapki i tak trochę zarabiałam. Na Wielkanoc pojechaliliśmy do domu, do Róży. Chciałam tam pewien czas zostać, by podratować swoje zdrowie, bo nie czułam się zbyt dobrze. Byłam piąty miesiąc w ciąży, a ważyłam teraz mniej, niż jak przyjechałam do Katowic. Lecz małżonek nie zgodził się i powróciliśmy razem. W Róży rozpisali gospodarstwo na dwoje, bo miało dwa numery, jedno to stare rodzinne, drugie kupione przez dziadka. Jedno miał ojciec, drugie brat Czesław a to z powodu podatków, jakie płacili kułacy. Pomału zbliżał się czas rozwiązania, bałam się jak to będzie, jak się dziecko urodzi. Ten nasz pokój miał szerokość dwudrzwiowej szafy i szerokość łóżka, a długość łóżka i też dwudrzwiowej szafy, w której gospodarze przechowywali swoje rzeczy. W lipcu zmarła babcia Magdalena w Róży.

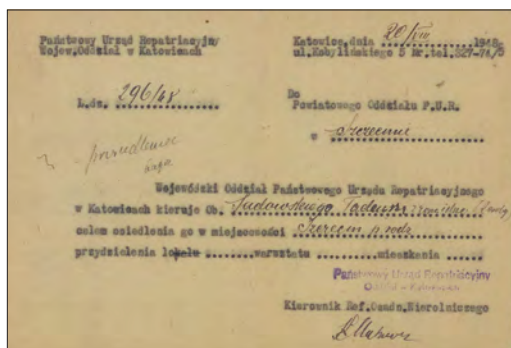
Na pogrzeb nie pojechałam, byłam w ostatnich dniach ciąży i się bałam. Poród nastąpił piątego sierpnia 1947 r. Był ciężki, a po porodzie miałam zapaści. Gdy wyzdrowiałam, to lekarz tak mi powiedział. Przyślę siostrę i niech cię zaprowadzi na drugie piętro, tam jest kaplica i podziękuj Bogu za ocalenie życia, bo to nie była moc nasza, lecz Boska. Przynieśli mi tą naszą córeczkę, taką chudziutką, słabiutką. W dzień kładłam ją na łóżko, a w nocy my spaliliśmy w łóżku. Na noc wyciągałam szufladę z komo-

dy, wyścielałam ją, stawiałam na komodę i ona służyła za łóżeczko. Na wózek lub łóżeczko nie było już miejsca. Z początkiem września ochrzci-
liśmy naszą Janinę. Chrzestnymi byli moja siostra Anna i brat męża Wa-
lenty. Siostra przyjechała sama, bo więcej nie byłoby gdzie umieścić. Ona



spała ze mną a mąż chodził spać do siostry Maryni. Anna przygotowa-
ła małe przyjęcie, bo ja czułam się słabo. Ugoszczenie tych parę osób było
u Stanisława, sam to nam zaproponował. Zaraz po chrzcie siostra wyje-
chała. Ciężko mi było w tych warunkach i ciasnocie chować dziecko, tym
bardziej że chorowałam. W kwietniu po Wielkanocy 1948 r. odbył się ślub
siostry Anny z Albinem Fritschem z Wytomyśla, mieszkającym aktualnie
w Szczecinie.

Chociaż z trudem, lecz
pojechaliśmy na ten ślub. Szwa-
gier Albin obiecał, że znajdzie
nam mieszkanie w Szczecinie.
Czekałam na to miesiąc za mie-
siącem i żadnej wiadomości nie
było. Na domiar tego doszły ta-
kie nieprzyjemności, że posta-
nowiłam zabrać dziecko i sama
wyjechać do Szczecina szukać
mieszkania. Lecz wreszcie nadszedł list od siostry, że jest dla nas mieszka-
nie i mamy natychmiast przyjeżdżać. **A więc jednak, czekały nas „ziemie
odzyskane” i repatriacja do Szczecina. Załatwiliśmy w Urzędzie Repa-
triacyjnym w Katowicach papiery reparacyjne, bilet na pociąg i bagaż.**
I tak 28 sierpnia 1948 r. znaleźliśmy się w Szczecinie, w mieszkaniu które
zajmuje do dzisiaj. Były to dwa pokoje, kuchnia i przedpokój, w budynku





przy Wozowni tramwajowej. Było ono zniszczone, sufity pozrywane, podbijane tekturą i papierami. Lecz szyby były w oknach i piec w kuchni palił. Już ktoś przed nami tu mieszkał, lecz widocznie znalazł lepsze mieszkanie i się wyprowadził. Zaraz po skończeniu wojny, kto się tu wprowadzał, otrzymał piękne mieszkania, a nawet domki jednorodzinne, teraz już były te najgorsze. Było to mieszkanie na trzecim piętrze. W kuchni stał kredens kuchenny, a w pokoju dwa pogruchothane krzesła. Pierwszą noc przespaliliśmy się u siostry na tej samej ulicy, o trzy domy dalej.

Szwagier Albin, pracował wtenczas na budowie w Świnoujściu. Nasze mieszkanie było w dzielnicy podmiejskiej – Gołębini, więc małżonek pojechał na swoim rowerze, który kupił jeszcze w Niemczech przed powrotem do Polski i od gospodarzy naprzywoził słomy. Rozścieliliśmy ją na podłodze i tak my przez pewien czas spaliśmy, dopóki nie uszyłam sienników. Węgiel było można kupić, a drewna uzbierało się w parku, nad Odrą. Tydzień przed nami wprowadzili się siostra Maria z mężem Haładudą i też na tą samą ulicę.



Więc my mieszkaliśmy pod nr 19, Haładudowie pod nr 20, a Fritschowie pod nr 22. Haładuda dostał przeniesienie do Szczecina i pracował w warsztatach kolejowych. Małżonek nim zaczął pracować, wraz ze szwagrem Albinem wytynkowali nam jeden pokój i kuchnię, która miała tyl-

ko jedno pęknięcie. Potem szwagier przysłał nam malarza ze swojej firmy i po godzinach pracy wymalował nam ten pokój i kuchnię. Ostatni pokój narożny został na później do roboty. Od 13 września 1948 r. mąż rozpoczął pracę w Hucie Szczecin w Stołczynie. Stamtąd przywiózł dwa żelazne łóżka, łóżeczko, drewniany stół i dwa krzesła. Wszystko musiało się naprawić i pomalować. Było to skromne, lecz najpotrzebniejsze umeblowanie. Córka Janina miała teraz wygodne łóżeczko i dużo miejsca do biegania. Pierwsze kroki zaczęła stawiać w drugiej połowie września. I tak

zaczęliśmy nowe życie w ponemieckim Szczecinie, pełnym gruzu i zniszczeń po przebytej wojnie. W tym czasie w naszej dzielnicy Gołęcino, był o kilometr drogi jeden sklep spożywczy i aby dostać 1 litr mleka trzeba było iść o 5-tej rano. Piekarnia była trochę bliżej, a sklep mięsny o 5 minut drogi. W listopadzie 1948 r., przydzielono nam działkę z działek pracowniczych, po drugiej stronie ulicy nad Odrą.

Miałam więc namiastkę swojej ziemi oraz własne warzywa i owoce. Czuje że muszę się spieszyć, by dobrać do końca a tyle lat mam jeszcze do opisanie. Dużo już zatarało się w pamięci, bo przecież piszę już u schyłku życia i trzeba się streszczać. Właściwie, to wtedy nie poznałam Szczecina, żyliśmy jak w jakiejś podmiejskiej enklawie, mając z miastem połączenie tylko za pomocą tramwaju nr 6, z którego korzystaliśmy zresztą tylko przy dojeździe na dworzec i do Stołczyna. Kupowaliśmy tylko żywność i węgiel, ubrania szylałam lub przerabiałam sama. Centrum Szczecina odgruzowywano, całe wagony cegieł szły na odbudowę Warszawy, ale w dzielnicach podmiejskich, tylko łatano dziury. I tak się żyło pod dyktando Sowiecko-Stalinowską i naszej partii. Za nierozważne słowo można się było znaleźć w więzieniu a nawet życie stracić. Od 1 lutego 1950 r. mąż zmienił pracę i pracował teraz w spółdzielni „Instalator”. W styczniu siostra Anna urodziła syna Waldemara, w kwietniu siostra Maria urodziła syna Zygmunta, a w czerwcu ja urodziłam syna Zdzisława. Ten rok 1950 był urodzajny w chłopców, w samym naszym domu urodziło się czterech.

Miałam mało pokarmu, więc siostry dokarmiały mojego Zdzisława. Chrzestnymi Zdzisława był kuzyn Wawrzynkiewicz, matką chrzestną miała być siostra męża Zofia Cybichowska, lecz nie przyjechała. Więc w ostatniej chwili zastąpiła ją moja mama. I tak czas płynął, ja zajmowałam się domem, dziećmi i działką. Mąż po pracy pomagał też na działce i wybudował w podwórzu z desek tak zwaną komórkę. Już teraz pootwierali sklepy, spożywczy na rogu Strzałowskiej i Światowida, dalej na Światowida sklep mleczarski i prywatną piekarnię. Pod koniec 1951 r. siostra Anna urodziła córkę Stefanię. Mąż w spółdzielni dość dobrze zarabiał, lecz pod koniec 1951 r. spółdzielnia zbankrutowała, stracił udziały i za miesiąc pracy nie miał zapłacone. Od 20 grudnia 1951 r. rozpoczął pracę w Elektrowni Szczecin. Skromne były te święta Bożego Narodzenia. Na wiosnę 1952 r. mąż zaczął budować z tarcicy nieobrzynanej altankę na działce. W listopadzie 1952 r. brat Czesław brał w Róży ślub z Marią Czub, lecz na ten ślub nie pojechalśmy.



Miałam odłożone pieniądze na kupno płaszcza, lecz mąż zabrał je i kupił radio **Pionier**. Dobrze to, **bo wreszcie mieliśmy jakieś wiadomości o tym co dzieje się w Szczecinie i Polsce**, lecz trzeba było zrezygnować z wyjazdu i naturalnie płaszcza.



Siostry ze Szczecina zawsze wyjeżdżały letnią porą na wieś, lecz ja nie mogłam, mój mążzonek uważał za niepotrzebne takie wyjazdy. Ja, co w młodych latach dużo wyjeżdżałam i działałam w różnych organizacjach społecznych, dla mnie był teraz tylko dom, dzieci, działka i jeszcze doszła hodowla królików. Nie chodziliśmy ani do kina, ani do teatru, to wszystko miało być jak dzieci dorosną. Czułam się jak zamknięta w klatce i jeszcze trzecia ciąża. Byłam załamana.

Tej zimy to sąsiedzi Pruchniccy, zabrali mnie kilka razy na ostatni seans do kina, które było

na ul. Światowida na Gołęczynie i które się później spaliło. Dzieci położyłam do łóżka i pojechałam z nimi bez małżonka. Zima minęła przyszła bardzo wczesna wiosna, więc zdążyłam wszystko na działce posiać i nawet posadzić. 8 maja 1953 r. posadziłam kalarepę, kapustę i grządkę po-

midorów, a 9 maja urodziłam syna a że urodził się w dzień św. Grzegorza więc daliśmy mu imię Grzegorz. Janinę i Zdzisława rodziłam w szpitalu a Grzegorza w domu. Na drugi dzień mąż pojechał do firmy, aby wziąć wolne dni z okazji narodzin dziecka, a ja wstałam zamoczyłam pieluszki, trochę posprzątałam.

[...]

Latem tego roku odwiedził nas brat męża Walenty. Mąż oprowadził go po centrum Szczecina. Szczecin mu się podobał, szczególnie Wały Chrobrego. Pod jesień tego roku, dopiero wyremontowaliśmy ten drugi pokój. Nasze posagowe meble, moje i siostry Marii stały w Róży, i tak prawdę powiedziawszy niszczały. Nie wzięliśmy ich od razu do Szczecina, bo nie było pewne czy będzie należał do Polski. Teraz Haładuda jako kolejarz mógł wynająć wagon, więc pojechaliśmy do Róży i przywieźliśmy meble do Szczecina. Odtąd nasze mieszkanie wyglądało już dostatejnie i mieliśmy wygodne spanie. I znowu minęła zima, mąż stale się dokształcał, wszystkie inne sprawy spadały na mnie. W Wielkanoc 1954 r. Haładudowie jechali na święta do Róży i zabrali ze sobą Ninę. Tak się jej tam spodobało, bo w sąsiedztwie znalazła koleżankę, że postanowiła zostać aż do sierpnia.

Siostra Kazimiera zobowiązała się nią zaopiekować, więc zgodziłam się. **Przy okazji warto wspomnieć, jak wyglądała opieka nad dziećmi. Co prawda na początku lat 50-tych powstały w Szczecinie tygodniowe żłobki, jednak raczej dla pracujących matek, my**



trzy siostry, plus zaprzyjaźniona rodzina Woźnych z Bolewic w Nowotomyskim, mieszkająca po sąsiedzku pod nr 21, korzystałyśmy z opieki nad dzieciarnią przez starsze siostry, które już skończyły podstawówkę, w tym wypadku siostry Woźne.

Po Wielkanocy mąż zachorował na zapalenie płuc. Pogotowie, które przyjechało dało mu zastrzyk, naturalnie bez próbki, a za pół godziny zaczął się dusić i puchł. Wezwałam ponownie pogotowie, które zabrało go do szpitala. W szpitalu leczył się prawie dwa miesiące, okazało się, że ma astmę. W miesiąc po wyjściu ze szpitala, pojechał do sanatorium do Szczawnicy. A ja musiałam sama uprawiać działkę, pokopać, posiać, po-



pielić, zająć się domem i dziećmi. Wstawałam o godzinie czwartej, do siódmej robiłam zakupy, a potem dzieci, dom i działka.

Mąż wrócił z sanatorium wypoczęty i zaczął dalej pracować. Ninę przywozła siostra Kazia, bo już był czas rozpoczęcia nauki w szkole. A teraz cofnę się

o kilka lat, bo nie wspomniałam o polityce w kraju. Po marszałku Żymierskim w 1949 r. powołano na marszałka Polski, z ZSRR Konstantego Rokossowskiego, wmawiano nam, że jest Polakiem. Po premierze Osóbce-Morawskim następnym został w 1947 r. Józef Cyrankiewicz, a prezydentem

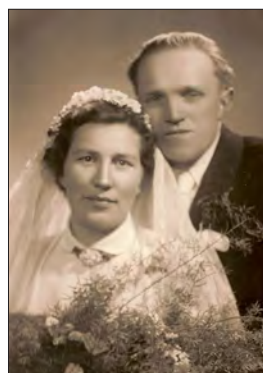


został Bolesław Bierut. Polskie Stronnictwo Ludowe zostało rozwiązane, a prezes Mikołajczyk zmuszony do ucieczki za granicę. Została tylko Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, której I sekretarzem w 1948 r. został prezydent Bierut. Mieliśmy swój rząd, lecz podlegaliśmy rządowi Stalina i jego pachołkom. W 1953 r. zmarł Stalin. Naród radziecki płakał po swoim wielkim wodzu, płakał po tym, co kazał wymordować miliony ludzi i żołnierzy, nie tylko Polaków. Wracam dalej do roku 1954. W październiku był ślub mego brata Jana z Leokadią Bocha z Wąsowa. Pojechaliliśmy na

ślub z całą naszą rodziną. Rok 1955 minął bez większych zmian. Ninka uczyła się dobrze. W maju, była przyjęta do I Komunii Św.



Mąż letnią porą pojechał do sanatorium wykorzystując dwa tygodnie swego urlopu. Rok 1956 był rokiem obfitującym w wydarzenia. Drugiego lutego siostra Kazimiera brała ślub z rolnikiem Franciszkiem Przybyłem z Chraplewa. Pojechalśmy i na ten ślub wszyscy.



W marcu umarł Bolesław Bierut. Pojechał na zjazd do Moskwy, zachorował i umarł? Po nim I sekretarzem partii został Edward Ochab. Teraz mąż, co roku jeździł do sanatorium. A to do Szczawnicy, innym razem do Szczawna, do Kołobrzegu, do Krynicy, do Inowrocławia. W tym roku wyjechał z końcem czerwca. W czasie jego wyjazdu i ja postanowiłam wyjechać z dziećmi na wieś do Róży. Był już lipiec, porobiłam wszystko na działce i przygotowałam się do wyjazdu. A tu zaczęli mówić o wydarzeniach w Poznaniu. Słuchałam radia, lecz prawie nic na ten temat nie mówili. Pojechałam na dworzec, pociągi jeździły normalnie. Postanowiłam jechać, wierząc że dam sobie radę z tą moją trójką. Choć to był czas Targów Poznańskich, w pociągu nie było tłoczno. Poznań powitał nas bałaganem na dworcu. U góry, na moście dworcowym stał czołg z gwiazdą. Chciałam zostać na jeden dzień w Poznaniu i odwiedzić krewnych. Więc zaraz z dworca poszliśmy do Cybichowskich, którzy mieszkali najbliżej dworca. Ja w jednej ręce niosłam walizkę a drugą prowadziłam Grzegorza. Ninka trzymała





Zdzisława za rękę i szli przodem, a ja z walizką ich popychałam. Byli przestraszeni, bo co kawałek mijaliśmy wojskowe patrole, a przechodząc obok terenu targów widzieliśmy leżące na ulicy reklamy targów. Panował tu ogólny bałagan, lecz doszliśmy do Cybichowskich, przez nikogo

nie zatrzymywani. Tuż przed ich domem stał porzucony i opalony czołg a na budynku były ślady strzelania. Zdziwili się, że miałam odwagę wybrać się w tym czasie. Opowiadali co przeżyli, gdy była strzelanina i jak rzucono butelki z zapaloną benzyną. Cały dom był okopcony. Po południu poszłam z chłopcami do Wawrzynkiewiczów, a Ninka została z Elą Cybichowską, bo wiozła dla niej swoje zdjęcia od I Komunii Świętej.



Wawrzynkiewicze przyjęli nas ze zdziwieniem, a Staszek opowiadał co skłoniło robotników z Zakładu Cegielskiego do wyjścia na ulice. Produkcja była dobra, ale wszystko gdzieś szło, w kraju zostawało tylko stare naprawiane, więc wysłano trzech delegatów w tej sprawie do Warszawy. Lecz delegacja nie wróciła, została uwięziona. To była podstawa protestu pracowników Cegielskiego. Wyszli

na ulicę, przyłączył się do nich naprawczy tabor kolejowy, gdzie Staszek pracował. Po drodze dołączyło się więcej ludzi, wznosili różne okrzyki. Na moście dworcowym zaczęła się strzelanina, a manifestanci poszli dalej na teren Targów Poznańskich. Robiło się gorąco i Staszek się odłączył, chciał jeszcze żyć dla trójki swych małych dzieci. Zginęło tam 26 osób, a ilu zostało rannych nie wiadomo. Przenocowałam z chłopcami u Wawrzynkiewiczów, a na drugi dzień po śniadaniu Teresa odprowadziła nas na dworzec, zabierając po drodze od Cybichowskich Ninke. W Róży też byli bardzo zdziwieni naszym przyjazdem i było dużo pytań. Po tygodniu naszej bytności wracaliśmy do Szczecina, bo małżonek wracał z sanatorium.

W domu wszystko biegło dalej zwykłym trybem, lecz w kraju robiło się gorąco i zachodziły zmiany. Marszałek Rokosowski wrócił do Związku Radzieckiego, a dowództwo nad wojskiem objął generał Jaruzelski. Teraz I sekretarzem KC PZPR zostaje Władysław Gomułka a premierem nadal pozostał Józef Cyrankiewicz. W Polaków wstąpiła nadzieja na lepsze. **Na fali odwilży, zwolniony z aresztu został kardynał Stefan Wyszyński, a nawet zorganizowano pierwsze wybory miss Szczecina.** Węgry widząc jakieś zmiany w Polsce zrobili powstanie. W październiku 1956 r. w Budapeszcie powstał nowy rząd. Walki trwały kilka dni. 4 listopada w asyście czołgów wkroczyły wojska Radzieckie. Poległo tysiące Węgrów. Wielu pozamykano w więzieniach, a kto mógł uciekał za granicę. Kadar utworzył nowy rząd. I takie mnie myśli dręczą, ile to jeszcze lat upłynie, kiedy naprawdę będziemy wolni i nie zastraszeni. I nadszedł rok 1957. Po Nowym Roku pojechaliśmy z dziećmi na ul. Gdańską do Elektrowni, tam gdzie pracuje mąż, na uroczystość Dziadka Mroza. Organizacja tej imprezy dla dzieci zajmuje się jedna pani z kadr. I wspaniale to urządza, dzieci są zadowolone i szczęśliwe.

Przypomniałam sobie jak to sama organizowałam imprezy kulturalne w naszej i sąsiednich wsiach, a teraz jestem tylko niepracującą matką. Następną imprezą dla dzieci, był Dzień dziecka. Odbywała się ona na murawie przed budynkiem biurowym Elektrowni, tylko w razie niepogody pod da-



chem. Ponieważ pogoda dopisała i ta impreza bardzo się udała. W lecie jak zwykle mąż pojechał do sanatorium a ja z dziećmi do Róży. Ojciec Stanisław nie czuł się już zbyt dobrze, jak wychodził do wychodka, to wracając ciągle niechcący wypuszczał konie. **O mało co nie skończyło się to tragedią, gdy koń kopnął w głowę syna brata Czesława Zenona.** Na szczęście, nic groźnego mu się nie stało. We wrześniu naukę w szkole podstawowej rozpoczynają nasi trzej synowie Waldek Fritsch, Zygmunt Haładuda i mój syn Zdzisław. Chłopaków rozdzielono, bo Waldka przydzielono do starej szkoły nr 42 a Zygmunta i Zdziśka do nowej szkoły nr 26. Podział uczniów do starej i nowej szkoły odbywał się w ten sposób, że dzieci ustawiono parami i jedna para szła do nowej a druga do starej szko-



ły. Był płacz i interwencje w dyrekcji, ale już tego podziału nie zmieniono. 25 września umiera w Róży ojciec Stanisław Szofer. Na pogrzeb pojechaliśmy wszystkie trzy córki ze Szczecina, mężowie musieli zostać z dziećmi.

Redakcja: Zdzisław Sadowski